

## Jan Pawelec: Romantyzm na uniwersytecie

W ostatnich dwudziestu latach nie cierpieliśmy na nadmiar realistów, mieliśmy za to nadreprezentację konstruktywistów i instytucjonalistów

Łukasz Warzecha pyta, kto lepszy, realista czy romantyk i komu należą się pomniki. Jakub Lubelski wyszydza alternatywę: w mordę lub w kucki. Przepraszam, a w jakiej sprawie?

Stosunkowcy międzynarodowi zwykli zanudzać nas różnymi teoriami. Czy coś z nich wynika, nie jest do końca jasne. Głównym pytaniem stosunkowca jest pytanie o interes – o to kto ma interesy, w jakich obszarach, co i kto wpływa na ich formułowanie oraz jakie są szanse na ich realizację. Zażarte spory toczą się wokół tych kwestii w rodzinie stosunkowców. Co te spory – nudne i niejasne – mówią o romantyzmie w międzynarodowej polityce?

Stosunkowcy-konstruktywiści różnej maści twierdzą, że interesy państw są zmienne. W zderzeniu z polityką zagraniczną innych międzynarodowych podmiotów, interes państwa jest nieustannie filtrowany przez siatkę narodowych wartości, cech i przywar. Jest więc on przede wszystkim produktem kultury politycznej, wyrazem jakiejś –

ciągle ugniataanej - „tożsamości” państwa. Sporów o tożsamość polskiej polityki było w ostatnich latach sporo. Spieraliśmy się o postkomunizm, ale nie tylko. W dyskusji o polskiej modernizacji słyszeliśmy argumenty „partii kserokopiarki” – której członkowie wzywali do przenoszenia gotowych, kulturowo-politycznych rozwiązań zachodnich – jak i „partii muzealników” – której ministrowie i prezesi argumentowali za poszukiwaniem polskiej drogi. Czytaliśmy o peryferyjności polskiej kultury politycznej, o przemocy strukturalnej i „sprasowaniu czasów historycznych”. A także o możliwościach eksportowych naszej polityki, szczególnie na kierunku wschodnim. Wreszcie opisywaliśmy na użytek wewnętrzny kulturę polityczną naszych zagranicznych przyjaciół i adwersarzy, jednych nazywając demokratami, innych znów czekistami. Tożsamości państw, mówią konstruktywiści, definiują charakter polityki, a więc i treść oraz sposoby realizacji interesów – ma przecież znaczenie, kto jest a kto nie jest czekistą. Im silniejsze tożsamości, tym polityka skuteczniejsza. Im bardziej skomplikowana i dziejowo zmałconą, tym trudniej wyartykułować cel i charakter polityki, a więc uczynić ją podmiotową. Ale na szczęście to tylko część opowieści.

Nie należy przesadzać z tym „konstruowaniem” interesów, powiedzą liberalni instytucjoniści. Państwa mają pewne sprawy do załatwienia, a te nie zależą od kultury. Co innego forma i otoczenie, w którym toczą się polityczne targi. Państwa nie działają w próżni, budują bowiem instytucje, by szybciej, łatwiej i przyjemniej realizować interesy. Decyduje tu stopień socjalizacji na salonach i twarde łokcie. Kultura narodowa przydaje się co najwyżej na Expo, jako gadżet. Przez krótki czas polski interes wobec międzynarodowych instytucji był jasny i akceptowany niemal przez wszystkich: integracja z UE i NATO i basta. Zaraz potem zaczęliśmy pytać o naszą skuteczność w biurokratycznych targach, o uleganie presji silniejszych i o nasz wizerunek za granicą.

Pytaliśmy o obsadę najważniejszych stanowisk międzynarodowych, stan polskiej dyplomacji i kompetencje międzynarodowe elity politycznej. Martwiliśmy się o instytucjonalną integrację w ramach porozumień ekonomicznych i o udział naszych firm w międzynarodowym obrocie gospodarczym. Myśleliśmy o budowaniu instytucjonalnych trójkątów i czworokątów w Centralnej Europie, by na tych wielokątnych kołach sprawniej się poruszać wśród najsilniejszych na Zachodzie. Marzyliśmy o sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi, opartym na jakimś zinstytucjonalizowanym porozumieniu. Liberałowie instytucjoniści nie ułatwiali nam zadania, nie precyzując, o co walczyliśmy, a tylko pokazując instrumenty. O co więc walczyliśmy?

W rodzinie stosunkowców to realisci mają najmniejszy problem z definicją interesu. Mówią o co walczą państwa i ich mowa jest bezkompromisowa. Państwa mają twarde rdzenie interesów, szczególnie w dziedzinach, które dają im przewagę nad konkurentami – te dziedziny to armia i gospodarka. Realizacja interesów to zawody, w których wygrywa ten, kto da większego czadu. Kto ma większą armatę i więcej pieniędzy, a więc większe możliwości wpływu i używania przemocy. Państwa działają w logice zysk/strata, kierowane ambicją awansu do wyższej ligi, byle bliżej potęg, byle móc wokół nich balansować, podszczypywać, kopać po kostkach i ściągać z imperialnego stołu. Polityka, powiedzą realisci, to gra ambicji i aspiracji. Kultura i instytucje to jedynie krajobraz. Chciałoby się napisać, że spieraliśmy się dosyć o realistyczną politykę – że publicyści i komentatorzy, zamiast o czekistach, pisali o energii jądrowej i reformie wojska, że politycy dyskutowali o gazie łupkowym, a premierzy zdawali sprawę z postępów w odbudowywaniu przemysłu stoczniowego, informatyzacji kraju i dywersyfikacji dostaw energii. Ale to chyba nieprawda.

W ostatnich dwudziestu latach nie cierpieliśmy na nadmiar realistów, mieliśmy za to nad-reprezentację konstruktywistów i instytucjonalistów. To oczywiście abstrakcyjne kategorie, a nie opis rzeczywistości. Wszystkie łączy założenie, że celem działań państw jest realizacja ich interesów – jakkolwiek różnie rozumianych i analizowanych na różnych planach. Jeśli tak, to trzeba nam wszystkiego po trochu, by definicję interesu ucierać w politycznym sporze. Dobór środków i proporcji jest pewnie istotnym elementem politycznego kunsztu. Kogo w tym gronie reprezentuje romantyk? Nie bardzo wiadomo. Bo jeśli romantyczne działania łączy z powyższymi cel w postaci realizacji interesów, to nie jest jasne, czym postawa romantyczna miałaby się charakteryzować. Jest bardziej „realistyczna”, „liberalna”, czy „konstruktywistyczna”? Może jest „graniem ponad swoją wagę”, ponad zdolności i środki? Albo „waleniem w mordę”? Może romantykiem jest ten, kto ma – przepraszam – po prostu większe jaja? Ale wtedy moglibyśmy nim nazwać nazbyt krewkiego realistę. O co więc chodzi z tym romantyzmem?

A jeśli romantyka od nie-romantyka odróżnia właśnie sens i cel działania? Jeśli romantyk niekoniecznie ma na celu realizację interesu, jak go rozumie stosunkowiec? Czym byłby więc wtedy romantyzm? Nie bardzo wiem. Może czymś nie-politycznym, może wypełnianiem jakiejś misji – czymś, czego nie-romantyk nie potrafi opisać? Wyobrażam sobie, że romantyk w gronie realistów nie czuje się najlepiej, jest nierozumiany, może wyszydzany i spychany na polityczny margines, może ostatecznie wyrzucany poza politykę. Jego mowa nie jest mową interesów a wizja nie jest wizją doczesną. Jest wyrzutkiem ale i – niektórzy może powiedzą – elementem niezbędnym dla wspólnoty politycznej, bo przydającym jej sensu poza czasem politycznym. Romantyk może skończyć jako polityczny bankrut, ale to jemu

następne pokolenia mogą stawiać pomniki. Zgoda. Mam sympatię do romantyków, jakich tu niezdarnie staram się opisać – nie sądzę byśmy łatwo znaleźli stosowne przykłady – ale nie potrafiłbym zrozumieć i opisać ich działań. Pomóc w tym mogą myśliciele i poeci. Niestety, ani romantycy ani poeci nie nadają się do polityki.

*Jan Pawelec*